



January Weiner

Brak wizji

W odpowiedzi
Aleksandrowi Wittlinowi
i Karolowi Życzkowskiemu

„Środowisko naukowe” zrobiło wiele, aby unowocześnić zasady organizacji i finansowania badań naukowych, i robi, co może, żeby to zepsuć.

Artykuł Aleksandra Wittlina i Karola Życzkowskiego jest kolejnym głosem naukowców zaniepokojonych stanem polskiej nauki. Autorów nie tylko trapi osławione niedofinansowanie nauki, które łatwo wykazać, porównując procent dochodu narodowego przeznaczony na badania w Polsce i w innych krajach, ale zadają trudniejsze pytania: jak miarodajnie ocenić efektywność badań prowadzonych za te pieniądze, jakie nauka jeszcze ma do dyspozycji, wreszcie – po co polski podatnik, obciążony ponad miarę, ma w ogóle wspierać badania podstawowe i stosowane? Autorzy opowiadają się za wykorzystaniem metod bibliometrycznych do oceny produktywności i efektywności badań (za ich pomocą wykazują, że skąpe środki przeznaczone na badania są i tak marnowane), a za stan ten czynią odpowiedzialnym „archaiczny i biurokratyzowany system oceny pracowników i placówek naukowych, przedkładający ilość nad jakość”, ponieważ „nauka polska jest jedną z niewielu dziedzin życia, którym udało się w dużej mierze zachować strukturę organizacyjną i metody pracy przeniesione z czasów PRL”. Wreszcie, winą obciążają „środowisko naukowe [i, które] zrobiło niewiele, aby unowocześnić zasady organizacji i finansowania badań naukowych”.



Podzielając całkowicie frustrację Autorów i zgadzając się – niestety – z większością ich wniosków, chciałbym jednak uzupełnić, a czasem skorygować niektóre diagnozy. W szczególności chciałbym zwrócić uwagę na postawione przez nich fundamentalne pytanie „po co społeczeństwo małożyć pieniądze na prowadzenie badań podstawowych [i innych]?”, na które Autorzy nie odpowiedzieli, przyjmując za oczywistość, że prowadzenie badań naukowych jest konieczne. Tymczasem odpowiedź na to pytanie wcale nie jest oczywista, a namysł nad tym problemem może pomóc w ustaleniu przyczyn obecnego stanu (trzeba będzie uściślić jedną z diagnoz Autorów), co z kolei pozwoli zastanowić się nad środkami zaradczymi.

Zacznę od sprostowania: akurat nie kto inny, jak samo środowisko naukowe zrobiło niemało, aby zatrzymać galopującą degrengoladę polskiej nauki. Mam na myśli utworzenie w swoim czasie Komitetu Badań Naukowych, co oznaczało wprowadzenie zasady konkurowania o środki na badania (w tym indywidualne granty, a nie tylko dotacje dla instytucji), z czym wiązało się stosowanie mechanizmów zobiektywizowanego oceniania jakości (*sic!*) dorobku i projektów; to sami badacze – twórcy KBN – wprowadzili w Polsce właśnie ilościowe metody bibliometryczne. Dziś, po kilkunastu latach, trudno może docenić radykalizm tych reform, zainicjowanych i wypracowanych – co podkreślam – nie przez polityków, nie przez przedstawicieli podatnika w parlamencie, lecz przez samych uczonych. Co niestety wcale nie oznacza, że KBN, obecnie przekształcony w Ministerstwo Nauki i Informatyzacji, poradził sobie z ogromem zadań.

Nie ma jednak czegoś takiego jak „środowisko naukowe”. Są różne grupy interesów, powiązanych instytucjonalnie, które łączy tylko wspólny motyw sięgania po pieniądze podatnika na pokrycie kosztów badań naukowych; dzieli je wszystko inne, łącznie ze sposobem rozumienia pojęcia „badania naukowe”. Po pierwsze, ojcowie-założyciele KBN chyba nie do końca zdawali sobie sprawę z tej rozbieżności interesów, a nawet sprzeczności kryteriów aksjologicznych, które charakteryzowały istniejące w naszym kraju, rzekomo jednolite, „środowisko naukowe”. Po drugie, mam wrażenie, że reformatorzy nauki znacznie przecenili poziom profesjonalizmu osób zajmujących się takimi czy innymi badaniami naukowymi. Zapewne dlate-



go, że sami należeli do ścisłej elity i obracali się wśród uczonych wybitnych. Panowało wówczas dość powszechne przekonanie, że realny socjalizm nie zdewastował polskiej nauki w takim stopniu, jak zniszczył inne obszary ludzkiej działalności, więc wystarczy jedynie usunąć organizacyjne absurdy, odizolować „marcowych docentów”, przywrócić swobodę kontaktów międzynarodowych i dodać nieco pieniędzy, aby polska nauka rozkwitła. Czas pokazał, ile w tym przekonaniu było naiwności.

Trzecia Rzeczpospolita odziedziczyła po PRL-u armię bardzo kiepskich badaczy, skupioną nie tylko w setkach tzw. JBR-ów (jednostek badawczo-rozwojowych), ale także w niektórych słabych instytutach uczelnianych i PAN (uprzedzając protesty tych, którzy poczują się dotknięci, od razu dodaję, że moja opinia odnosi się nie do wszystkich JBR-ów ani nie do większości innych instytutów). Próby obiektywizacji ocen i powiązania wielkości dotacji z jakością i efektywnością badań nie tylko naruszyły interesy, ale wręcz zagroziły dalszemu trwaniu tych placówek. Co gorsza, reformatorzy nie znaleźli wsparcia tam, gdzie powinni byli szukać naturalnego sojusznika, mianowicie w PAN. Wszak to instytuty PAN skupiały najlepszych polskich badaczy, to im powinno zależeć na racjonalizacji systemu finansowania nauki, a konkurencji nie powinni się obawiać. Tymczasem, głównie z powodów ambicjonalnych, od samego początku powstało napięcie pomiędzy KBN a PAN, która utraciła bezpośredni wpływ na dystrybucję pieniędzy na badania naukowe. Trudno się więc dziwić, że w „środowisku nauki” zaczęła się nieprzebiegająca w środkach walka o byt, której najmniej groźnym przejawem było pieśzcotliwe nazywanie KBN-u „kabanem”. Gdyby chodziło tylko o spory ambicjonalne i personalne, wiele złego by się nie stało. Dewastującym skutkiem tych konfliktów było jednak zakwestionowanie zasady konkurencji i podważenie obiektywnych kryteriów oceny jakości i efektywności badań. Wkrótce po wprowadzeniu metod bibliometrycznych do oceny publikacji rozległ się chóralny wrzask na znaną nutę: „lista filadelfijska musi odejść!”, który wciąż jeszcze słychać. Paradoksalnie, głosy rozczarowania dochodzą również z najlepszych, a więc najwyżej ocenionych placówek badawczych PAN i uniwersytetów. Rzecz w tym, że po wprowadzeniu zobiektywizowanych ocen



wiele placówek dokonało wielkiego wysiłku, aby podnieść poziom i efektywność badań, m.in. przez bolesne zabiegi restrukturyzacji zatrudnienia, spodziewając się rozsądnie, że wskutek konsekwentnego zastosowania kryteriów KBN wydatnie poprawi się ich kondycja finansowa. Rzeczywiście, tak by było, gdyby nie równoczesne drastyczne zmniejszanie budżetu KBN. Okazało się, że podjęty w dobrej wierze trud poszedł na marne, a grono malkontentów się powiększyło.

KBN – obecnie Ministerstwo Nauki i Informatyzacji – nadal konsekwentnie stosuje te zasady, ale nie ma pewności, czy tak będzie dalej. Projekt nowej ustawy o finansowaniu nauki nie jest jednoznaczny, konkretne rozwiązania dotyczące konkursów, sposobów i kryteriów oceniania jakości i efektywności deleguje do przepisów wykonawczych, a te – tworzone w czeluściach gmachu na Wspólnej przez anonimowych urzędników – nie wiadomo, jak będą wyglądały. Pierwotny kształt projektu Ustawy (na szczęście skorygowany wskutek powszechnej krytyki) spełniał oczekiwania tej części „środowiska naukowego”, której nie w smak konkursy i obiektywizacja ocen; dotychczasowe „przecieki” na temat rozporządzeń wykonawczych też nie napawają otuchą.

Parafrazując cytat z artykułu Wittlina i Życzkowskiego, powiedziałbym więc, że „środowisko naukowe” zrobiło wiele, aby unowocześnić zasady organizacji i finansowania badań naukowych, i robi, co może, żeby to zepsuć. A zatem, sprawa „archaicznego i biurokratyzowanego systemu ocen pracowników i instytucji” nie polega jedynie na wybraniu odpowiednich zasad i kryteriów, ale na możliwości wprowadzenia ich w życie. Jest mało prawdopodobne, aby zróżnicowane „środowisko naukowe” zdołało samo dokonać niezbędnych reform, choćby z tego samego powodu, z jakiego żaden chirurg sam sobie nie zrobi skomplikowanej operacji, nawet gdyby bezwzględnie zgadzał się z diagnozą. Nie jest zatem wielką szkoda, że „środowisku naukowemu” odebrano również formalnie prawo do robienia takich operacji, przekształcając stopniowo „samorządny” KBN w Ministerstwo Nauki i Informatyzacji, jednoznacznie podporządkowane aktualnej władzy politycznej. Powstaje zatem pytanie, jakimi przesłankami powinno się kierować takie ministerstwo, administrując badaniami naukowymi? Mówiąc wprost: czy w ogóle,



a jeżeli tak – to na jakie badania ma przeznaczać pieniądze podatnika? Dopiero potem warto się zastanawiać, jakich kryteriów powinno się używać podczas kontroli jakości „produktu” i przy ocenie efektywności wykorzystania inwestycji.

I tu dochodzimy do sedna: reprezentując interesy podatnika, a raczej – ulegając presji wyborców – każdy rząd musi rozważyć, po co, w jakim wymiarze (i czy w ogóle?) należy finansować badania naukowe w kraju takim jak Polska. Po pierwsze, należałoby ustalić, czy w ogóle ów podatnik oczekuje czegoś od nauki. Mało na ten temat wiadomo, bo tzw. badania opinii publicznej najczęściej ujawniają skłonność obywateli do powtarzania frazesów o prestiżu profesora, o postępie technologicznym albo o szkodliwości genetycznie zmienionej żywności. Istotniejsze są wyniki ankietowania na temat tego, jakie dziedziny życia w Polsce wymagają dofinansowania kosztem innych, i tu – na konkretne pytanie konkretna odpowiedź – zaledwie ok. 2% respondentów sądzi, że państwo powinno więcejłożyć na naukę i kulturę. Może to i lepiej, że nie ma bardziej wnikliwych badań na ten temat, bo mogłyby one ujawnić jeszcze bardziej zniechęcające opinie. Zresztą wypowiedzi internautów (ci są szczerzy aż do bólu) zamieszczane na wirtualnych stronach gazet i tygodników przy okazji jakichś dyskusji o nauce nie pozostawiają wątpliwości: gdyby rządy kierowały się głosem opinii publicznej, budżet nauki polskiej wyglądałby znacznie gorzej, niż wygląda.

Skoro podatnik nie wie, co dla niego dobre, sami musimy poszukać uzasadnienia, po co budżet naszego państwa miałby finansować taką aktywność, jakie cele tej działalności spotkałyby się z aprobatą społeczną, a przynajmniej jakie cele mogłyby popierać elity naszego społeczeństwa. Ja widzę trzy argumenty, które można streścić następująco:

- nauka to potęgi klucz (motyw praktyczny);
- nauka to dziedzina sportu wyczynowego (motyw prestiżowy);
- nauka to część kultury (motyw cywilizacyjny).

Pierwszy z tych argumentów sprowadza się do przekonania, że badania naukowe są motorem postępu technologicznego, medycznego i każdej innej działalności praktycznej, więc przekładają się na postępowość gospodarczą i jakość życia obywateli. Ten dość powszechny pogląd opiera się na micie, iż pomiędzy badaniami naukowymi a postępem technolo-

gicznym istnieje bezpośrednia, liniowa zależność. Mit ten podważano już wielokrotnie. Nie zaprzeczając oczywistościom (nowoczesna technika, medycyna i rolnictwo naprawdę bazują na wynikach badań naukowych) ani nie wdając się w ogólniejsze rozważania na ten temat (warto przeczytać znakomity artykuł prof. Macieja Grabskiego *Czy nauce potrzebna jest autonomia*, „Forum Akademickie”, 4-5, 2003), ograniczmy się do konkretnej sytuacji w dzisiejszej Polsce.

Otóż twierdzą, że inwestowanie w badania naukowe *sensu stricto*, zarówno podstawowe, jak i stosowane (nie mówimy tu o pracach rozwojowych i projektowych), w nadziei, iż przyczyni się to w realnym czasie do wzrostu gospodarczego, jest marnotrawstwem opartym na iluzjach. Zacołanie naszego przemysłu, rolnictwa czy służby zdrowia nie ma żadnego związku z brakiem nowych wyników naukowych. Krajowych inwestorów nie stać na finansowanie badań, które mogłyby się ewentualnie zamortyzować po wielu latach, a silni inwestorzy zagraniczni korzystają z własnego zaplecza badawczego. W dodatku jest mnóstwo gotowych technologii do wykorzystania. Osiągnięcie rzeczywiste nowatorskich wyników wymagałoby skoncentrowania nakładów finansowych grubo przekraczających nasze możliwości, co więcej, do takiego frontalnego ataku nie mamy również wystarczająco licznej i silnej kadry. Jeżeli zaś mielibyśmyłożyć na badania naukowe w trosce o postęp całej ludzkości, to lepiej przekazać całe środki na badania do jakiegoś kraju o bardzo wysokiej efektywności badań – np. do USA albo Wielkiej Brytanii. W ten sposób każda złotówka bardziej przyczyni się do postępu nauki, niż gdyby ją wydać w Polsce.

Drugi argument sprowadza się do nadziei, iż głośne odkrycia naukowe mogą się przyczynić do podniesienia narodowego prestiżu, jak kiedyś nasze sukcesy w piłce nożnej, a ostatnio samotne tryumfy pana Małysza. Nie należy lekceważyć tego rozumowania. Spektakularny sukces, choćby w nauce, może podnieść nastroje społeczeństwa, a to przekłada się na praktyczne osiągnięcia gospodarcze i na wyniki referendum. Lepiej się żyje i pracuje, kiedy w telewizji ogląda się sukcesy „naszych chłopców”, a nie tylko sprawozdania

Marzę, że nasi najzdolniejsi doktoranci dostaną taką pomoc, ekipę ekspertów, trenerów, psychologów, dietetyków, jak średnio zdolni piłkarze, ale wiem, że to mrzonka.



z parlamentu. Twierdzą jednak, że aby osiągnąć ten szczytny cel, lepiej przeznaczyć pieniądze podatnika na zakup jakichś piłkarzy, a nie na badania naukowe. Inwestowanie w bokserów i skoczków narciarskich też dużo kosztuje, ryzyko, że nic z tego nie będzie jest ogromne, ale jednak istnieje niezerowe prawdopodobieństwo, że co jakiś czas pojawi się jakiś Małysz i inwestycja się opłaci. Czasem sobie marzę, że nasi najzdolniejsi doktoranci dostaną taką pomoc, ekipę ekspertów, trenerów, psychologów, dietetyków, jak średnio zdolni piłkarze, ale wiem, że to mrzonka.

By jednak sukces naukowca mógł poprawić nastrój w narodzie w stopniu porównywalnym z wygranym meczem drugiej ligi, musi on dostać Nagrodę Nobla, nic innego. Sukces odrobinę mniej głośny nie zrobi już żadnego wrażenia. Najlepszym dowodem prawie zupełny brak oddźwięku na przyznanie w 2002 roku prof. Andrzejowi K. Tarkowskiemu nagrody „Japan Prize”, najwyższego międzynarodowego wyróżnienia, jakie dostał polski uczonec od czasu Curie-Skłodowskiej. A przecież dziedzina jego badań (klonowanie!) jest wyjątkowo „medialna”.

Nie można wykluczyć, że pewnego dnia któryś z naszych badaczy zostanie wyróżniony Nagrodą Nobla, ale nadzieja na taki rezultat nie może być poważnie traktowana jako uzasadnienie wydatków na badania naukowe. Tym bardziej że – gdyby poważnie podejść do planowej realizacji takiego zamierzenia – środki, jakie należałoby na to przeznaczyć, przekraczają nasze możliwości, a i kadry mogłoby zabraknąć.

Pozostaje argument ostatni: prowadzenie badań naukowych, by podtrzymywać rozwój cywilizacji. Służyć temu mogą badania naukowe we wszystkich dziedzinach, zarówno podstawowych, jak stosowanych, pod jednym wszakże warunkiem: że spełniają podstawowe kryteria jakościowe. Uprawianie tych badań musi mieć bezpośrednie skutki społeczne; głównym „produktem” powinny być wykształcone elity, mechanizm ich wytwarzania powinien polegać na sprzężeniu aktywności badawczej z dydaktyką akademicką. Jest wiele oczywistych powodów, aby aktywne prowadzenie badań naukowych było częścią wykształcenia akademickiego. Mówiąc krótko, nie ma mowy o wykształceniu kadry specjalistów potrafiących skutecznie wdrażać licencyjne technologie, rozwiązywać praktyczne problemy medyczne, ekonomiczne czy społeczne bez styku z bada-



niami naukowymi. Prowadzenie tych ostatnich jest warunkiem oswajania się z metodologią nauki, nabrania nawyku krytycznego korzystania z informacji, zrozumienia, na czym polega obiektywne testowanie hipotez i wyciąganie wniosków. Szczególnie dotyczy to, oczywiście, kształcenia nowych pokoleń kadr akademickich.

Dążenie do tak pojętego głównego celu prowadzenia badań naukowych nie tylko nie wyklucza, ale wręcz umożliwia osiągnięcie (w długiej perspektywie czasowej) pozostałych dwóch: przyczyniania się do postępu technicznego i rozwoju gospodarczego naszego kraju oraz wzrostu jego międzynarodowego prestiżu. To pierwsze polega jednak przede wszystkim na ułatwieniu asymilacji postępu dokonującego się na całym świecie, to drugie – na utrzymaniu udziału Polski w rozwoju cywilizacji w skali międzynarodowej w stopniu, jakiego należałoby oczekiwać od dużego, rozwiniętego kraju europejskiego. Jedno i drugie wymaga najpierw zasypania przepaści cywilizacyjnej, jaka dzieli Polskę od bardziej rozwiniętych krajów Europy i Ameryki. Natomiast żadnego sensu nie ma sztuczne (w drodze administracyjnego nacisku) koncentrowanie badań w obszarach stosowanych lub takich, gdzie – zdaniem urzędników – jest szansa na spektakularny sukces.

Aby badania naukowe mogły spełnić rolę stymulatora rozwoju cywilizacji, muszą być rzetelne. Wszelkie paliatywy wywrą skutek dokładnie odwrotny, demoralizujący, generując społeczne antyelity (obawiam się, że właśnie teraz ten proces idzie u nas pełną parą). Rzetelność badań naukowych oznacza, że są to prace potrzebne (uzasadnione rozwojem danej dziedziny nauki), ważne (dotyczące zagadnień naukowo istotnych, a nie marginalnych), aktualne (dostarczające naprawdę nowej wiedzy), poprawne warsztatowo, wiarygodne, wchodzące w obieg informacji naukowej, otwarte na krytykę. Mówiąc krótko, badania na wysokim poziomie profesjonalnym. Wyniki badań naukowych, podstawowych i stosowanych, muszą być upowszechnione; nie mają sensu, jeżeli nie są opublikowane.

Czuję zażenowanie, gdy z namaszczeniem wypisuję tutaj stek banałów. Ale przecież mizéria polskiej nauki w znacznej mierze ma swoje źródło w zanegowaniu właśnie tych oczywistości. Przejawem tego jest kwestionowanie kryteriów oceny wartości badań naukowych przez analizę jakości publikacji. Negacja ta przybiera różne



formy: od zupełnego odrzucenia publikacji jako końcowego efektu badań, poprzez bagatelizowanie znaczenia krytyki naukowej, a więc szerokiego (międzynarodowego) zasięgu publikacji, po próby zastąpienia wiarygodnych ilościowych danych o sile oddziaływania publikacji (jak np. Science Citation Report, ISI) jakimiś paliatywami (osobliwy „Index Copernicus” przypisujący arbitralną punktację wybranym czasopismom z Polski i niektórych innych krajów Europy Środkowowschodniej).

Osobny problem, wynikający z osobliwości języka polskiego, to wykorzystywanie wieloznaczności słowa „nauka”. Mamy naukę o cząstkach elementarnych i naukę o literaturze; mamy też naukę gry na wiolonczeli i naukę jazdy. Urzędowe definicje rozróżniają precyzyjnie badania naukowe podstawowe, stosowane i prace rozwojowe, przy czym tylko dwie pierwsze należą do kategorii badań naukowych, bo przynoszą nową wiedzę. Zatem nie powinno być żadnych wątpliwości, jakich mianowicie obszarów aktywności społecznej dotyczy ocenianie i finansowanie badań naukowych. W rzeczywistości pojęcia te są ciągle mieszane, często celowo, bo mętna woda sprzyja łowieniu ryb. Szkoły artystyczne domagają się, by do oceny ich „dorobku naukowego” zaliczać przedstawienia teatralne i koncerty, a w ramach inwestycji aparaturowych finansować np. zakup instrumentów. Instytuty badawczo-rozwojowe do naukowego dorobku chcą zaliczać wszystkie prace rozwojowe i projektowe, bo przecież wykonywali je docenci, używając skomplikowanej aparatury pomiarowej i komputerów. To nie są żarty, taka jest codzienna praktyka zespołów dziedzinowych KBN usiłujących dokonać oceny jakości i efektywności pracy badawczej placówek.

Nie kwestionuję potrzeby prowadzenia prac rozwojowych, projektowych i ekspertyz; w głębi duszy wołałbym, aby z pieniędzy podatnika kupiono czasem szkole muzycznej organy, zamiast, za przeproszeniem, akcelerowany spektrometr masowy komu innemu, nawet gdyby to oznaczało przeniesienie odpowiedniej kwoty z resortu nauki do resortu kultury. Rzecz jednak w tym, że zamęt pojęciowy nieuchronnie prowadzi do stępienia kryteriów jakości. Przyjmijmy więc, że pojęcie „badania naukowe” (podstawowe i stosowane) rozumieć będziemy tylko jako prace przynoszące nową wiedzę.



W pełnej zgodzie z Wittlinem i Życzkowskim twierdzą, iż jedyną miarodajną ocenę jakości i efektywności tak pojmowanych badań naukowych daje analiza publikacji, do czego nadają się doskonale metody bibliometryczne wykorzystujące odpowiednie międzynarodowe bazy danych. Opublikowanie wyników badań w czasopiśmie naukowym o międzynarodowym zasięgu i ustalonej renomie jest równocześnie gwarancją profesjonalnego poziomu badań. Maszynopis przeszedł przez ręce co najmniej dwóch fachowych recenzentów, wygrał konkurencję z innymi poprawnymi maszynopisami, które się już w piśmie nie zmieściły. Wpływ, jaki dana publikacja wywarła na naukę światową, odzwierciedla liczba cytowań. Pośrednią prognozą tego wpływu jest tzw. współczynnik siły przebiccia („*impact factor*”) czasopisma, tzn. przeciętna liczba cytowań, jakie publikacje w tym czasopiśmie osiągały w przeszłości. Liczbę cytowań poszczególnych publikacji oraz współczynniki siły przebiccia tysięcy czasopism publikuje regularnie ISI w swoich rocznikach „Science Citation Index” i „Science Citation Report”. Elementarnym wymogiem poprawności jest standaryzacja rozkładów w poszczególnych dziedzinach, jak o tym słusznie piszą Wittlin i Życzkowski. Porównywać trzeba czasopisma w obrębie dziedzin, a standaryzację rozkładu można najprościej zrobić przez jego podział na kwartyle. Taką właśnie metodą posługują się od lat niektóre zespoły dziedzinowe KBN w ramach oceny parametrycznej placówek naukowych.

Okazało się, że konsekwentne stosowanie kryterium jakości publikacji zaczęło przynosić spodziewane rezultaty. Chociaż nie ma takich badań (KBN nie dorobił się komórki naukometrycznej z prawdziwego zdarzenia), gołym okiem widać nie tylko poprawę średniej jakości publikacji w wielu instytutach, ale też awans wielu polskich czasopism, których redaktorzy zaczęli przykładac wagę do jakości i zaczęli się starać o wejście na listę filadelfijską (wielu już się to udało).

Metoda parametryczna nadaje się wyłącznie do publikacji. Nie można w ten sposób porównywać wyników badań stosowanych, wdrożeń i prac rozwojowych. Rzetelnej oceny wdrożeń może dokonać wyłącznie użytkownik danego opracowania, najlepiej – poprzez cenę, jaką gotów jest za nie zapłacić. Najlepsze instytuty badawczo-rozwojowe chętnie się na to godzą, a nawet gotowe są w ogóle zre-



zygnować z państwowego mecenatu. Dla kiepskich placówek zarówno poddanie się ocenie rynku, jak i przyjęcie kryteriów jakości poznawczej badań (jakości publikacji) oznaczałoby katastrofę. Dlatego domagają się, aby ich dorobek również oceniali urzędnicy według wynegocjowanych zasad. Jednak próby parametryzacji ocen badań stosowanych i prac rozwojowych prowadzą do absurdów. Ostatecznie, parametrycznych kryteriów jakości prac rozwojowych i podobnych w ogóle nie opracowano.

Słabe placówki naukowe (wszystkich resortów) ustawicznie kontestują zasadę oceny publikacji za pomocą indeksu siły przebiccia („lista filadelfijska musi odejść”), argumentując nieraz, iż kryteria te preferują publikacje w języku angielskim (podczas gdy „Polacy nie gęsi...”), że specyfika ich tematyki jest lokalna, a nie globalna, więc nie ma co liczyć na międzynarodowy rezonans itp. Pamiętajmy jednak, że parametryczna ocena jakości badań wykonywana głównie na podstawie publikacji nie jest bezwzględny pomiar „ilości urobku” czy „produktu” danej instytucji, a jedynie względny wskaźnikiem służącym do porównań wewnątrz dyscyplin. Taka ocena ma charakter statystyczny i jej trafność zależy od wielkości materiału, dlatego nie może dotyczyć indywidualnego dorobku badacza ani nie można jej odnosić do krótkich przedziałów czasowych. Z drugiej strony, wskaźnik jakości publikacji bardzo dobrze koreluje z innymi osiągnięciami (na przykład najlepsze placówki wyspecjalizowane w badaniach stosowanych i pracach rozwojowych zwykle mają również znaczący dorobek publikacyjny).

Oczywiście, wszystko, co piszę, w mniejszym stopniu dotyczy nauk humanistycznych, niż ścisłych i przyrodniczych. Zapewne nauki humanistyczne powinny wypracować własną, równie precyzyjną i ścisłą metodę oddzielania ziarna od plewy. O ile mi wiadomo, takich kryteriów dotąd nie zaproponowano.

Przyjęte przez KBN metody zbiektywizowanej oceny jakości i efektywności badań (szczegółowe zasady oceny parametrycznej opublikowano m.in. na stronach internetowych KBN – Ministerstwa Nauki i Informatyzacji) obnażyły jednak bezlitośnie fatalny stan wielu placówek. W efekcie – odbiło się to na wysokości finansowania, a dodatkowe obniżenie całkowitej puli do podziału w 2002 r.



doprowadziło do katastrofy. Niektóre placówki stanęły w obliczu bankructwa. Ten kryzys w całej pełni ukazał wady naszego systemu organizacji i finansowania nauki. Słabe instytuty, których dorobek nie uzasadnia dalszego finansowania, należałoby rozwiązać. Ale kto ma to zrobić? Likwidacja instytutu to operacja wymagająca sporego budżetu, porównywalna z rocznym kosztem utrzymania placówki. Kto ma za to zapłacić? Ale czy likwidując placówki badawcze, należy się kierować jedynie jakością ich dotychczasowej pracy? Może przy ograniczonych środkach lepiej byłoby zamknąć jeden z kilku instytutów zajmujących się podobną tematyką, nawet jeżeli robi to dobrze, by gruntownie zreformować (ale jednak utrzymać) inny instytut, chociaż dotychczas pracował kiepsko?

Żadna komisja oceniająca nie zadecyduje, ilu potrzeba demonologów, a ilu angelologów w kraju takim jak Polska; jaki nowy instytut otworzyć, a który zamknąć? To sprawa polityki naukowej. Sama ocena jakości i efektywności badań, choćby najdoskonalsza, nie jest jeszcze polityką naukową. Doświadczenia z okresu realnego socjalizmu pozostawiły uzasadniony uraz do tego pojęcia. Niestety urazu tego nie łagodzi stosunek do nauki współczesnych polityków, i to bez względu na ich proveniencję. Politycy są ludźmi rozumnymi i sami doskonale wiedzą to, co wyżej napisano: że w naszych warunkach nauka to ani potęgi klucz, ani szansa na Nobla, co gorsza – wiedzą również, że przeciętnego obywatela stan polskiej nauki niewiele obchodzi. Ja jednak, ponieważ nie jestem politykiem, którego czas półtrwania mierzy się długością kadencji, tylko osobą ludzką, której się zdaje, że będzie żyć wiecznie, bardzo się martwię tym, że brak dalekowzrocznej polityki naukowej państwa pcha nas w kierunku cywilizacyjnej zapaści.

Bardzo się martwię, że brak dalekowzrocznej polityki naukowej państwa pcha nas w kierunku cywilizacyjnej zapaści.

JANUARY WEINER, ur. 1947, profesor w Instytucie Nauk o Środowisku UJ, członek-korespondent PAU i PAN, członek zespołu P04 KBN bieżącej kadencji, jest autorem artykułów naukowych, podręczników, prac popularnych i esejów z zakresu ekologii i biologii ewolucyjnej.